

„Wszyscy, którzy będą nosili Cudowny Medalik, dostąpią wielkich łask“.
„...Ci którzy we Mnie ufają, wielu łaskami ich obdarzę“.

*Słowa Niepokalanie Poczętej
do Siostry Kat. Labouré.*

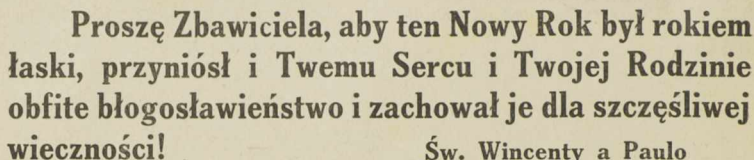


ROCZNIK MARIAŃSKI Cudowny Medalik

CZASOPISMO MIESIĘCZNE ILUSTROWANE

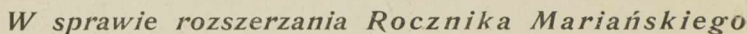
Redakcja i Administracja: Kraków, Stradom 4
(XX. Misjonarze) P. K. O. Nr. 404.450





Św. Wincenty a Paulo

Corr. VI. 153.

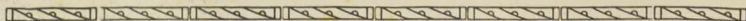


Prenumeratę na r. 1937 za Rocznik Mariański ustanawiamy na 2 zł. 50 gr., to znaczy około 20 groszy za pojedynczy egzemplarz. Gdyby jednak ktoś z Czcieli Marii Niepokalanej nie był w stanie i możliwości takiej sumy uiścić, chętnie przystajemy i na niższą opłatę. Można takową uiścić lepiej jednorazowo albo podzielić sobie i na dwie raty. Gorliwi Prenumeratorzy, którzy uiszczą prenumeratę do dnia 31 marca b. r., otrzymają w nagrodę bezpłatnie broszurę: „Chrystus z nami“ (stron 80). Bardzo uprzejmie prosimy wszystkich, którym chwała i cześć Marii leży na sercu, aby i w tym nowym roku z szeregów naszych nie występowali, ale ochotnie pozostając w armii Niepokalanej, z Jej kosztownym darem Cudownym Medalikiem jako zadatkiem Jej macierzyńskiej opieki doczekali się pewności jutra i obfitych a błogich owoców każdego poświęcenia! Wyrażamy wdzięczność za dotychczasowe przywiązanie do naszego Cudownego Medalika, zachęcamy Wszystkich do dalszej gorliwości w szerzeniu tegoż Głosu Naszej Matki Niepokalanej.

Przypominamy, że co miesiąc odprawiamy w naszym kościele Nawrócenia św. Pawła apostoła po 3 Msze św. na intencję naszych Czytelników i Dobrodziejów oraz obiecujemy stałą pamięć w modlitwach!

Do obecnego styczniowego numeru dołączamy czeki na
P. K. O. i uprzejmie prosimy o łaskawe nadsyłanie prenumeraty
za r. 1937. A o uiszczenie zaległości też prosimy!

Ponawiamy nasze serdeczne życzenia, by i w tym Nowym Roku przy wiernej a ochotnej służbie Marii Niepokalanej wszyscy Apostołowie Cudownego Medalika, Dzieci Marii, Siostry Miłosierdzia i Przewielebni Księża jak najwięcej otrzymali łask Złotych Promieni tegoż daru Marii, jakim jest Cudowny Medalik, a którym i w tym także roku i w całej przyszłości na wyraźne życzenie Marii i Kościoła św. szafarzyć będziemy! XX. MISJONARZE.





CENTRALNY KRAJOWY ORGAN KRUCJATY CUD. MEDALIKA
STOW. CUDOWNEGO MEDALIKA I DZIECI MARII W POLSCE

Rok XIII

Redaktor X. Pius Pawellek, Misjonarz

Styczeń 1937

STYCZEŃ

*Wyciąga rączki do wiernych sług
W maleńkim ciele potężny Bóg.*

Nowy Rok! Oddzieramy kartę tytułową z naszego kalendarza pytając się co będzie? Co nam ten Nowy Rok przyniesie? Co zapiszemy na tych 365 kartkach, które jedną po drugiej oddzierać będziemy? Grubą jest ta książeczka kalendarza, choć kartki są z tak cienkiego papieru, jednak położone jedna na drugiej, taką grubą książeczkę utworzyły. Prędko minie chwilka, prędko minie dzień, nawet rok, ale z tych chwilek i lat składa się długie życie... Jakie ono będzie? Co nam przyniesie? Czy będzie wesołe? szczęśliwe?...

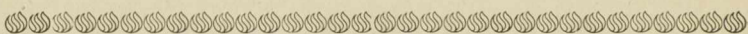
Cieszymy się nadzieją, że będzie lepiej w tym Nowym Roku, składamy sobie wzajemnie życzenia, i jakaś otucha i nadzieja lepszego jutra wstępuje do duszy. Tylko pesymiści, ludzie życiem przemęczeni, nie spodziewają się lepszej doli. Sami smutni i drugim życie zatruwają, odbierając wesołość i ochotę do życia.

W Swym nieskończonym miłosierdziu zakrył Pan Bóg przed nami przyszłość. Nie wiemy, co nas czeka. Czyż nas Pan Bóg zostawia bezbronnych „na pastwę losu”? O nie! Dał nam Pan Bóg dwa wielkie dary, wielką siłę: rozum i wolę, żebyśmy mogli sami sobie, niezależnie od wypadków dołączyć wykuć i przyszłość przygotować. Dał nam Swoje prawa i wskazówki, obiecując nam pomoc, obiecując pociechę, jeżeli się do Jego woli najświętszej zastosujemy, ale grozi opuszczeniem, grozi karą, jeżeli odrzucimy Jego wolę, stosując się do zapatrywań ludzkich. Mamy więc przed sobą jasną, pewną drogę

do szczęścia, które nas nie minie na pewno, które będzie niezmiennie i stałe w przyszłym życiu, które w tym życiu przybiera formę wiary. Wiara, która nam pomoże znieść wszystkie przykrości i niedzczęścia nieuniknione tu na ziemi, pomoże nam wzniesić się ponad wszystkie te smutki i widzieć w tym, co na spotyka, miłosierną i li-tościwie wyciągniętą ku nam ojcowską rękę Boga, który czasem zsyła złe mniejsze, by od większego uchronić, czasem doświadcza, czasem karze, ale zawsze ma na celu nasze dobro.

Czegóż więc życzyć naszym miłym czytelniczkom w tym zaczynającym się nowym roku? Życzymy, by te drobne rączki Boga Dzieciny ze złóbka ku nam grzesznym wyciągnięte hojnie zlewały wszelkie łaski. Zlewały łaski duchowne, ale i doczesnych nie szczędziły, żeby ten rok nowy przyniósł wiele zadowolenia w pracy Stowarzyszeń, żeby się między członkami zacieśniały węzły przyjaźni, żeby praca w Stowarzyszeniu rozwijała się na chwałę Bożą w duchu apostołskiej miłości, zwalczając szerzącą się w świecie nienawiść.

Zebrawszy wszystko krótko i treściwie, życzymy, żeby wszystkie Dzieci Marii były zdrowe wesole i zadowolone, szczęśliwe i do-syć bogate.



NOWY ROK

Rozpoczynając nowy rok, powinniśmy poważnie zastanowić się i zapytać, w jakim celu Bóg dał nam dożyć tego roku i czego wymaga od nas w przeciągu roku przyszłego. Wiara św. odpowiada nam, że dobroć Boża udziela nam tego czasu, abyśmy pracowali usilnie nad zbawieniem duszy naszej i abyśmy sobie na to mieszkanie w niebie, które Syn Boży Swym narodzeniem i śmiercią nam zgotował, zasłużyli.

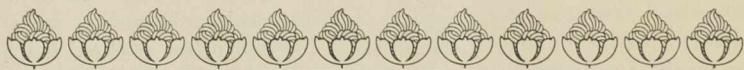
Pierwszym powodem jest smutna przeszłość naszego życia, którą potrzeba naprawić i wynagrodzić wobec Boga. Wszystek czas roku ubiegłego, resztę lat życia naszego, udzielił nam Bóg dla zbawienia naszego, bo to ostateczny cel wszystkich darów i łask Bo-żych. A jakżeśmy użyli tego czasu? Oto przed nami tyle łask Bo-żych tak w porządku przyrodzonym, jak i nadprzyrodzonym, które Bóg zlewał na nas w życiu naszym minionym. Jakżeśmy ich uży-wali? Jaki pożytek z nich dla duszy naszej? Przypomnijmy sobie teraz w sercu upokorzonym i skruszonym lata młodości naszej naj-pierwszej, lata, których Bóg w miarę, jakieśmy postępowali w wieku nam przymnażał. Bóg dobry, coraz więcej dodawał darów, talen-tów, pamięci, rozumu, nauki, a jakżeśmy tego wszystkiego użyli

dla Boga i zbawienia duszy naszej? O boleści największa, wiele to grzechów i złości popełnionych ciśnie się w tym przypomnieniu lat dziecięcych! Wiele uczynków dobrych i powinności zaniedbanych albo byle jako popełnianych! Czy na to wspomnienie i widok tych wszystkich niewierności naszych nie musimy z największym zawstyżeniem zawołać z prorokiem: „Będę rozmyślał wszystkie lata moje w gorzkości duszy mojej!” Boże wielki, kiedy Twa sprawiedliwość zważy wszystkie twe łaski i dary i położy na jednej szali, coś ty dla mnie uczynił, a drugiej wszystko zło, które ja uczyniłem przeciwko Tobie, i bardzo mało dobrego, które uczyniłem dla Ciebie, — ach, czy nie przyjdzie mi zadrzeć z przerażenia i bojaźni o zbawienie moje! Kiedy patrzę na przeszłość, widzę to pismo tajemnicze, które ręka twa sprawiedliwa pisze na niej: *Thecel*, zważonyś na wadze i znalezionyś mniej mającym (*Dan. V*). Moja praca, moje zasługi znikają wobec tych łask, które mu udzielałeś! Tak szala twych darów przewyższa moje zasługi. Tyś zawsze hojnie dawał! Jam nawet przyjąć nie chciał, a co przyjąłem, jakżeż zużytkowałem? Ach, czy to wspomnienie bolesne nie powinno nas pobudzić do szczerzej i wytrwalej pracy w roku przyszłym? Cóż nam pozostaje, aby to zło minione naprawić, jeżeli nie o jedno, byśmy szczerem żalem i pokutą prawdziwą przebłagali sprawiedliwość, a uciekając się do miłosierdzia Jego, pozyskali je sobie postanowieniami niezachwianymi pracy gorliwej i zbierania zasług, wynagrodzić złości minionych lat naszych. Cóż może być większą naszą pociechą i prawdziwszym weselem nad to przekonanie, że tak wypłacamy się sprawiedliwości Bożej. Pokutować, wypłacać długi cnotliwym życiem to prawdziwe szczęście. Kiedy tak pokornie do Jego nóg upadamy i ofiarując Mu dobrą, pokorną i gorliwą wolę na życie przyszłe, z onym sługą wołamy: *Panie, miej cierpliwość nade mną, aż wszystek dług Ci wypłacę*, On, zdjęty litością nad nami, odpowiada nam słowami proroka: *Wróćę wam lata utracone*. O Boże, któreż słowo milsze nad to zapewnienie wielkie, wróćę wam lata, któreście oddali światu i piekłu ohydny i szkaradnym grzechem. To wszystko, gdy weźmiemy się do szczerzej i wytrwalej pracy. Te wszystkie straty wróci nam miłosierdzie Twoje, abyśmy z oczyszczonym sercem i jakby nową, odrodzoną duszą i bogatą w zasługi mogli żyć, abyśmy dobrze korzystali z roku rozpoczętego i nie opierali się Twej miłości i doskonałości!

Zniewala nas do tej pracy i teraźniejszość. Chwile bowiem, godziny i miesiące rozpoczętego roku jeżeli nie będę ich dobrze używał, pracował dla wieczności, miną prędko, ale i niepowrotnie. Za wszystkie potrzeba zdać rachunek ścisły i surowy wobec tego dawcy, wszystko wiedzącego. Każda chwila stracona obróci się

przeciwnie, nie uszczęśliwi mnie tu, owszem zatrue niepokojem i zgryzotami teraz i na godzinę śmierci nie zgotuje, jak tylko żal i smutek, bo jak mówi św. Jan: Świat przeminie i pożądlivość jego. Lecz kto czyni wolę Bożą, trwa na wieki. O jakżeż każda chwila rozpoczętego roku powinna mi być drogą i dobrze użytą. Bóg sam wskazując mi na wartość czasu i cenę łask w nim udzielonych, przestrzega mnie i mówi: *O si scires donum Dei!*

Mamy ubezpieczyć sobie przyszłość. A cóż niepewniejszego nad przyszłość! Statystyka mówi nam, że rocznie umiera około 40 milionów ludzi na ziemi, około 76 osób w jednej minucie. Któż nas upewnił, że my w tej liczbie w tym roku nie znajdziemy się? Czy zobowiązał się Bóg, że nam jeszcze udzieli czasu. Możemy się go spodziewać, zasłużylibyśmy sobie na to, żeby życie nasze zostało przedłużonym! Jakżebym żył, gdybym był pewnym, że umrę w tym roku? Jakże unikałbym każdego i najmniejszego grzechu? Jakżebym się starał najdrobniejszą czynność moją spełnić dokładnie i sumiennie? Przeto żyj codziennie tak, jak gdyby to był ostatni dzień życia twojego. Św. Bernard każe każdą czynność sprawować, jakby to była ostatnia modlitwa, ostatnia sprawa. Nic dziwnego — to przestroga Ducha św., który mówi: Nie utracaj dnia dobrego, a cząstka dobrego daru niech cię nie minie.



Święto Objawienia Pańskiego

„Znaleźli Dziecię z Marią matką Jego, upadli na kolana i modlili się. Potem otworzyli skarby swoje i ofiarowali Mu złoto, kadzidło i mirrę“.

Mateusz 2, 11.

Kościół katolicki obchodzi w dniu dzisiejszym jedno z największych świąt, bo nowonarodzony Zbawiciel objawił się w dniu dzisiejszym poganom, dlatego też święto to Epifanią czyli Objawieniem Pańskim nazwano. W osobie trzech mędrców ze wschodu są i poganie do chrześcijaństwa powołani, w ten sposób objawioną nam jest wola Boża, że wszyscy ludzie starać się mają dojść do poznania prawdziwej wiary, i że Zbawiciel dla odkupienia wszystkich na świat przyszedł.

Na czystym niebie wschodu ukazała się jasno świecąca cudowna gwiazda, ażeby zwrócić uwagę pogan na narodzenie Chrystusa. Niewielu jednak usłuchało głosu łaski Bożej: tylko trzech

mędrców, którzy podług podania piastowali godność książęcą i dlatego królami nazwani byli, bez wahania pospieszyli za onym głosem, nie dając się długą, uciążliwą drogą odstraszyć. Pocieszał ich za to i dodawał im otuchy cudowny blask owej gwiazdy, która im nagle znikła, sądzeni, że doszli już do celu. Na zapytanie, gdzie się znajduje nowonarodzony król, kazał król Heród, przestraszony tą wiadomością, zebrać radę i dowiedział się od nich, że oczekiwany Mesjasz ma się narodzić w Betlejem z pokolenia Judy. Zaledwie mędrcy wiadomość tę usłyszeli, zabrali się zaraz w drogę, ażeby odnaleźć Zbawiciela ich dusz. Jak wielką była ich radość! Bo patrz! Zaledwie opuścili Jerozolimę, a już znowu przyświecała im owa cudowna gwiazda. Z radością i odwagą postępowali za nią. Naraz gwiazda stanęła. Czy może nad jakim wspaniałym pałacem? O nie! nad ubogą stajenką. Zapewnie niemało byli zadziwieni, że tutaj miał mieszkać nowonarodzony król, ale usłuchali głosu Bożego i weszli. I nie znaleźli tam nic, coby było wielkie i wspaniałe w oczach ludzkich, ale małą Dziecinę, owiniętą w ubogie pieluszki w żłóbku na słomie leżącą. Ale wiara oświeciła ich, mówiąc im, że ta biedna dziecina w żłóbku jest Zbawicielem świata. Pełni świętej bojaźni rzucili się przed Dzieciną na kolana, ażeby ją jako Boga swego uczcić i złożyli Mu w pobożnej skromności dary swoje: złoto, kadzidło i mirrę. Jak obficie obsypał ich za to Zbawiciel swoimi łaskami. Podług wskazówek niebios wracali inną drogą do ojczyzny, ale ich serca pozostały przy ukochanym Zbawicielu; nie zapomnieli Go nigdy. Jemu służyć chcieli całe swoje życie i wiecznie Go miłować.



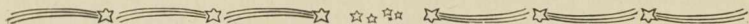
Nawrócenie św. Pawła

*„Ten jest narzędziem Mojem wybranem,
ażeby Imię Moje poganom oznajmić“.*

Dz. Apost. 9, 15.

Szawel, który po swym cudownym nawróceniu imię Pawła otrzymał, pochodził z Tarsu w Cylicji, miasta odznaczonego prawem rzymskim, a będąc synem faryzeusza, został wychowany w surowym prawie mojżeszowem. Jako najzaciętszy wróg chrześcijaństwa, przechowywał u siebie szaty tych, którzy kamienowali św. Szczepana, a nawet zaopairzył się w pełnomocnictwo, ażeby wszystkich damasceńskich chrześcijan uwięzić i do Jerozolimy odprowadzić. Tym czasem w drodze do Damaszku otoczony i pówalony nagle blaskiem, usłyszał następujące słowa: „Szawle, Szawle, dlaczego

mnie prześladowiesz?“ Szawel zapytał: „Kto jesteś Panie“ — a głos odpowiedział: „Jestem Jezus, którego ty prześladowiesz“. Szawel zapytał: „Panie, czego żądasz, abym uczynił?“ Głos mu odpowiedział: „Idź do miasta, a tam usłyszysz co masz czynić!“ Towarzysze po-
dróży jego oszołomieni tym wszystkim, stali bez słowa. Słyszeli głos, ale nikogo nie widzieli. Szawel powstał lecz jako ślepy, i musiał być odprowadzonym do miasta, gdzie trzy dni bez jedzenia i picia przebył. Tym czasem Pan Bóg posłał jednego ze swych uczniów, imieniem Ananiasz, do domu, gdzie mieszkał Szawel. Ananiasz bał się Szawła, ponieważ słyszał o nim wiele złego wyrządzonego chrześcijanom w Jerozolimie. Atoli Bóg rzekł do Ananiasza: „Nie obawiaj się! Ten bowiem jest narzędziem wybranym, za pomocą którego Imię Moje rozgłaszane zostanie poganom, królom i dzieciom Izraela, a ja mu pokażę, ile on za mnie cierpieć będzie musiał“. Ananiasz poszedł natychmiast do Szawła, położył ręce na jego głowę, a natychmiast spadło bielmo z ocz jego niby łuski. Szawel, odzyskawszy wzrok, dał się ochrzcić. — Od tej chwili stał się Paweł niezmordowanym uczniem Jezusa, a miłość jego ku Zbawicielowi była tak gorącą, że do ostatniej chwili życia nie poprzestał głosić nauki Chrystusa pomimo niebezpieczeństw, trudności i prześladowań, aż wreszcie prawdziwość jej krwią własną zapieczętował.



O potędze Najświętszej Marii Panny

*„Samam obesła okrąg niebios
i przeniknęłam głębokość przepaści“.
(Ecccl. XXIV, 8).*

Serce człowieka tak jest usposobione, iż z całą ufnością oddaje się w opiekę tej osobie, która wie o jego potrzebach, może mu dopomóc i chce mu zawsze przysługi oddawać. Taką jest dla nas Najświętsza Maria Panna! Jest naszą matką, kocha nas osobliwie, wie o nas; nie tylko chce, lecz może nas wspierać zawsze i wszędzie, i zbawić. Niejedna matka wszystkoby zrobiła dla swego dziecka, lecz nie może uczynić zadość życzeniom swego serca dla braku środków. Tym czasem Maria posiada w Swej mocy wszystkie środki, łaski i pomoc wszelaką, bo wszystko złożył Bóg w Jej ręce. Ona sama z Jezusem stanowi jakby jedno serce, jakby jedną duszę i w Bóstwie Syna jest całkiem zanurzona. Nadto jest Królową nieba, ma na swe usługi aniołów i świętych, którzy z największą miłością spełniają Jej życzenia. Wreszcie i szatani na samo imię Marii drżą i rozpraszają się w nieładzie.

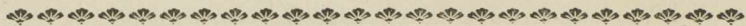
Dziwnym się wydaje człowiekowi, gdy go astronomia poucza, że mała gwiazda, która na niebie połyskuje, o wiele razy olbrzymią naszą ziemię przewyższa, a znowu w porównaniu z całym wszechświatem niknie jej wielkość i zdaje się być ziarnkiem piasku. A nad tym całym wszechświatem króluje Bóg i owe wszystkie światy, które przytłumiają nasz umysł swym ogromem, są dymem nicości wobec Jego potęgi. Weź garść piasku do ręki, zlicz ziarenka i napełnij nimi cały pokój, usyp z nich górę... państwo... cały świat, niechby potem owe wszystkie ziarenka w światy się zamieniły i wyleciały jako ptaki w przestworza do Boga — o jaka ich straszliwa liczba i groźna potęga? I cóż czy zmieszają Boga? Zadziwią swą liczbą? Wzruszą ogromem? *Qui habitat in coelis irridebit eos* (Ps. II, 4). Rzeknie słowo — i nie masz ich! I jako mgła opadną i znikną.

A teraz uważ, jaka musi być potęga Marii, twej Matki i Matki tak potężnego Boga! Powiada o Sobie Jezus: *Pater diligit Filium et omnia dedit in manus eius* (św. Jan III, 36), a Maria mówi o sobie: *Filius diligit Matrem et omnia dedit in manus Eius*!

O Maria, pokorna służebnica Pańska, jakżeż z Twą pokorę wywyższona już teraz nie jesteś wzgardzona w kąciaku ziemi, ale mówisz: „Samam obeszła okrąg niebios“. Monarchowie i ludzie możni tego świata lubią swój blask majestatu roztaczać, lecz czymże są te możliwości wobec potęgi jednego świętego w niebie! Tak nikną jako ginie blask świecy wobec promieni słonecznych. Zaiste wszystko ugina się i korzy pod władzą i jednego świętego. Cała natura przed nim się korzy. Zbierz teraz wszystkie wielmożności wszystkich świętych i aniołów w jedną całość. O Boże! co za potęga! Zdaje się, iż już nic jej nie wyrówna. Bóg jest jeszcze nieskończenie potężniejszy. I Matka Jezusowa niezrównanie większą dzierży potęgę od świętych Pańskich. Niebo i ziemia uznają Ją jako swoją Królową: *Regina angelorum, Regina patriarcharum, Regina apostolorum, confessorum, virginum, Regina sanctorum omnium*! — Wszyscy święci i aniołowie jej poddani, a Ona ich Królowa!

Władza monarchów jest tak krucha i słaba, iż nie może panować równocześnie dwóch w jednym państwie, podczas gdy jeden jest potężny i szczęśliwy, drugi nędzny i uniżony być musi. Lecz państwo Boga jest tak wspaniałe, iż składa się z samych królów. Czyniąc drugich potężnymi, Bóg nie tylko nie słabnie, lecz Jego potęga tym więcej jaśnieje. Jeśli wszyscy święci są królami w państwie Boga, to Najświętszej Pannie dał Pan Jezus najwyższą władzę nad wszystkimi świętymi, owymi królami nieba, którzy panować będą przez całą wieczność. Jako Bethsabea matka Salomona miała przywilej siedzieć obok syna na jego tronie i dzielić z nim

wielkość władzy — tak Matka Boża z Jezusem łaskawie króluje nad wszystkimi w niebie. Jako pszczoły uzbierawszy miód gromadzą się do swej matki do ula, tak aniołowie i święci obok Marii biegną, niosąc Jej miód cnót ludzkich. Wódz naczelny całej armii rozkazuje — jedna wola, a wszyscy słuchają i pełnią rozkazy. Tak życzenia Marii święci podchwytyją i z miłością pełnią. Jakaż radość ogarnie serca nasze w niebie! Jak szczęśliwi jesteśmy, że mamy tak wielmożną Matkę w niebie, a przy tym tak dobrą i cierpliwą i wyrozumiałą na nasze nędze. O Matko, wspieraj nas w naszej słabości, abyśmy nie ustali w drodze do nieba!

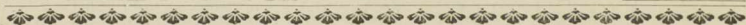


NOWY ROK

*Oto rok nowy — daj Boże szczęśliwy —
Dzisiaj rozpoczął dni swoje,
Jako przyjaciel oddany, życzliwy,
W polskie wstępuje podwoje.*

*Roku, co idziesz, witamy ciebie,
Pełni otuchy i wiary,
Że nam jaśniejszą gwiazdą na niebie
Błyśniesz, niż błyszczał rok stary.*

*Że nam zapalisz i w sercach i w niebie
Nowych nadziei promienie,
I że w twym oku znajdziemy dla siebie
Naszej tęsknoty spełnienie.*



LUCJAN MACHNIEWSKI

Po dwudziestu latach...

Cała okolica tonęła w bieli. Śniegowy puch pokrył wszystkie zagłębienia, wyrwy i przydrożne rowy, tworząc prawie jednolitą płaszczyznę, uniemożliwiającą wprost odróżnienie drogi od pól. Tylko z rzadka rosnące krzewy, pokryte grubą warstwą śniegu, urozmaicały cokolwiek krajobraz, formując jakby kopce śniegowe. Biedne krzewy zgięte pod brzemieniem zwałów śniegu zdawały sobie wspominać lepsze czasy ubiegłego lata, kiedy w promieniach słońca uśmiechały się do otoczenia swą bujną zielenią.

Ściemniało się coraz bardziej, tak, że z trudem można było dojrzeć w oddali jakąś ciemniejszą plamę na tle białego śniegu, która z każdą chwilą powiększała się, przyjmując wreszcie wyraźny kształt sań, ciągnionych dość rażno przez parę koni, kierujących się ku stacji kolejowej. Już dojeżdżają — krótki gwizd lokomotywy, ciężkie sapnięcie, chmura dymu i iskier, pociąg ruszył — nie zdążyli. Troje osób skierowało wzrok swój w kierunku oddalającego się pociągu. Wreszcie jeden z panów, machnąwszy z rezygnacją ręką, dał znak woźnicy, by zawracał.

Zwracając się z uśmiechem do swego towarzysza, starszego mężczyzny, mogącego liczyć około pięćdziesięciu kilku lat, wesoło zagadnął:

— Następny pociąg jutro o siódmej trzydzieści... a mówię panu, panie Władziu, że nie powinien pan tak prędko nas opuszczać!

Pan Władysław usprawiedliwiał się nadużywaniem gościnności i brakiem czasu. Dalszą rozmowę przerwał wichur, wiejący w kierunku stacji kolejowej; poprzednio, poniekąd przyspieszał ich jazdę — w drodze powrotnej stał się jednak niemożliwy, wiejąc całą trójkę z niezwykłą siłą prosto w twarz. Brutalny wichur, jakby cały swój gniew chciał wyladować na saniach, że po raz wtóry przejeżdżają przez jego królestwo śniegów — unosił całe warstwy śniegu, bryzgając nimi raz po raz w sanie. Konie, parszając, zwróciły głowy w prawo. Wyczerpane dłuższą jazdą — w walce z wiatrem, widocznie ulegały mu. Kierując się raczej instynktem, niż wzrokiem, mimo gwałtownego wichru i zapadającego zmroku, trzymały się środka drogi, aby nie wpaść do przydrożnego rowu, zakrytego białą płachtą śniegu na równi z drogą i polami. Wichur przybierał na sile. Konie, jadące początkowo szybko, zmniejszały chyżość, wreszcie, gdy jeden z nich zaczął kuleć, wprost z wysiłkiem ciągnęły sanie.

Pan Władysław cofnął się myślami o kilka dni wstecz. Jako obywatel amerykański przyjechał do Polski w charakterze przedstawiciela firmy tamtejszej. Gnany tęsknotą za krajem, skorzystał z nadarzającej się sposobności. Załatwił sprawy firmowe i pozostało mu około dwa tygodnie do własnej dyspozycji. W Warszawie zawarł znajomość z właścicielem majątku ziemskiego panem Żardeckim. Przy kieliszku wódki przypadli sobie do gustu — przyjął jego zaproszenie. Pięć dni bawił w majątku Żardeckiego. Kogo mógł odwiedzić? Rodziców stracił jako dziecko... Z krewnych wszyscy pomarli lub zginęli na wojnie. Przed oczyma jego przewinęły się ich postacie... ciotka, wujek, stryj, kuzyn, w końcu la-

godna twarz brata z utkwionym w niego wzrokiem... Zadrzał nerwowo, i zaczął się otrząsać z zadumy.

Dojeżdżali do skrzyżowania dróg.

— W lewo! — wykrzyknął ziemianin, zwracając się następnie do pana Władysława, zaznaczył: — Nie dojeżdżamy, musimy się zatrzymać w pobliskiej wiosce u znajomego nauczyciela.

Sanie zjeżdżały w dół. Zdawa widać było ogniki świateł. Po chwili sanie znalazły się w wiosce. Minawszy parę domostw, zatrzymały łuk i wjechały do zagrody. Cała trójka zeskoczyła z sań. Otrząsnawszy się ze śniegu, Żardecki i pan Władysław weszli do przedsionka. U progu powitał ich służący nauczyciela, prosząc, aby weszli do wnętrza izby.

— Zaraz nadejdzie pan kierownik — oznajmił.

Zdjęli ciężkie futra. Kierownik nie nadchodził. Przerwał ciszę pan Żardecki.

— Gdyby nie ta zawieja, moglibyśmy oglądnąć wioskę; co za śliczne położenie. Tędy szedł szlak tatarski, znaczna też ilość mieszkańców wioski ma wybitnie tatarskie rysy. To potomkowie osiadły Tatarów — dziś wierni synowie ojczyzny. Ile w tych okolicach pamiątek historycznych...

— Kościół nasz, proszę panów — wtrącił się do rozmowy służący — ma przeszło czterysta lat, a jaki śliczny.

— A gdzie się znajduje?... Pewnie w środku wioski... — zapytał pan Władysław.

— Naprzeciw naszego domu, jakie trzydzieści kroków — brzmiała odpowiedź. — Nawet teraz jest otwarty. Ksiądz proboszcz jest chory, zastępuje go od czterech dni jakiś nowy ksiądz. Teraz spowiada.

— Przejdźmy się do kościoła — zaproponował Żardecki panu Władysławowi. Ubrali się i wyszli.

Pan Władysław dłuższy czas podziwiał wspaniałą ornamentykę kościelną. Żardecki, pomodliwszy się, skinął na towarzysza, aby wyszli.

— Wkrótce przyjdę, chcę zostać tu nieco dłużej. Tu tak miło — rzekł pan Władysław.

Żardecki skinął głową na znak zgody i opuścił kościół.

W kościele zostały dwie kobiety, pan Władysław i ksiądz spowiadający wieśniaka. Po chwili wieśniak skończył się spowiadać.

— Proszę — rzekł ksiądz do pana Władysława, stojącego tuż za konfesjonalem, myśląc, że przyszedł do spowiedzi. Ten nie był na to przygotowany, jeszcze przed chwilą nawet nie myślał o spowiedzi. Małe wahanie — jednak postanowił wyspowiadać się.

— Ojcie duchowny — ciężko wykrztusił. — Dwadzieścia lat się nie spowiadałem.

— Dwadzieścia lat — powtórzył spowiednik.

— Przed sobą masz mordercę... bratobójcę.

— Ciszej — szepnął ksiądz.

Władysław ciągnął dalej podnieconym głosem: — Usłyszysz historię mego życia i zbrodni, która przez sądy tego świata nie mogła być ukarana, bo wiedział o niej tylko jeden człowiek, a tym człowiekiem byłem ja. Drugi świadek to chyba Bóg w niebie. Rodziców prawie nie znałem, dzieckiem byłem, gdy mi umarl. Wychowywałem się u krewnych wraz z bratem młodszym ode mnie o rok. Po ukończeniu studiów gimnazjalnych wpadłem w złe towarzystwo i stałem się nałogowym karciarzem. Odbawszy służbę wojskową w armii austriackiej, zacząłem gospodarować częścią majątku przypadającego mi po rodzicach. Wnet cały majątek poszedł na uregulowanie długów honorowych. Dalej grałem, brnąc w długi i naciągając brata na pieniądze. Początkowo dawał mi, w końcu odmówił stanowczo. Staliśmy się wrogami, a raczej ja jego wrogiem. Wybuchła wojna światowa. Powołano mnie i brata... Traf ślepy chciał, że dostaliśmy się do jednej kompanii. Starałem się znowu od brata wydostać większą sumę na pokrycie długów — na próżno, mimo próśb i zaklęć odmówił. Wrogi mój stosunek do brata przerodził się w ślepą nienawiść. Wojna toczyła się już kilka miesięcy. Armia austriacka cofała się pod naporem przeważających sił rosyjskich. Pewnego dnia wyznaczono mnie na dowódcę placówki. Wśród moich podwładnych znalazł się i mój brat. Z prawej i z lewej strony sąsiadowały inne placówki. Patrole łącznikowe utrzymywały łączność. Cisza. Czujki niczego podejrzanego nie widziały. Nawet patrol zwiadowcza wróciła z wiadomością, że nieprzyjaciół musi być jeszcze bardzo daleko. Mijały godziny. Żołnierze częściowo czuwali na stanowiskach część odpoczywała. Wtem padł strzał. Tu czujka, spostrzegłszy zbliżające się cienie, dała ognia. „Na stanowiska!“ — krzyknąłem doraźnym głosem. Cienie podchodziły coraz bliżej. Czujka wycofała się na linię placówki. Otworzyliśmy ogień. Nie czekaliśmy długo na odpowiedź. Zaszli nas, bo strzały coraz gęstsze zaczęły padać z przodu i z prawej strony. Nieprzyjacielski karabin maszynowy niemiłosiernie walił w pobliskie wzgórze, nie robiąc nikomu krzywdy, bo nikt w tej chwili tam się nie znajdował. Z prawej strony obchodzono nas coraz bardziej. Spostrzegłem brata koło siebie. — Skoczysz przez to wzgórze do grupy tych drzew i stamtąd wal do Moskali. — Nie kierowałem się w tej chwili myślą taktyczną, lecz pragnąłem śmierci brata, zdając sobie sprawę, że nikt żywy przez to wzgórze nie przejdzie.

dzie. Spojrzał na mnie wzrokiem, który utkwił w mej pamięci na zawsze. Zrozumiał, że skazałem go na śmierć. Bez słowa sprzeciwu spełnił rozkaz. Z placówką wycofaliśmy się ku czatom. Gdy ochłoniąłem z pierwszego wrażenia, sumienie zaczęło do mnie przemawiać. „Jesteś mordercą“. Z ust jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli w następnym dniu, dowiedziałem się, że trzech żołnierze z mojej placówki, których nie odnalazłem, zginęli. Otrzymałem po bracie dość okazały spadek. Pierwszym moim postanowieniem było zapłacenie długów. Korzystając z urlopu, pojechałem w rodzinne strony. Udałem się do dłużników, aby zapłacić zaległe sumy. Ze zdziwieniem wypatrzyli się na mnie, mówiąc: „Pański brat dawno już uregulował wszelkie pańskie długi“. Teraz dopiero zrozumiałem kogo straciłem. Postanowiłem zerwać na zawsze z przeszłością, rozdałem resztę majątku na cele dobroczynne i rozpocząć życie jako człowiek uczciwy... Lecz cień zbrodni szedł za mną krok w krok. Nie mogłem znaleźć spokoju. Nadaremnie starałem się dowiedzieć przez szereg lat, gdzie leży ciało brata... Po wojnie wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, lecz nie sam... Cień zbrodni poszedł w ślad za mną na drugą półkulę...

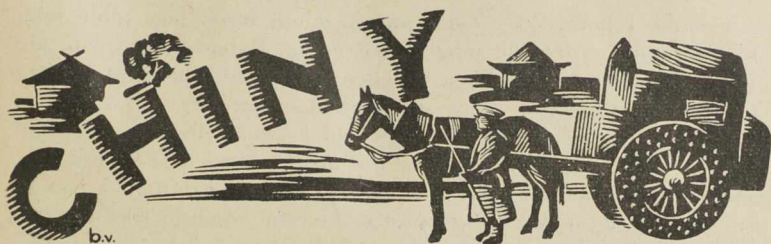
Cichy szept — krótka modlitwa — lekkie stuknięcie na znak, że spowiedź skończona.

Pan Władysław wstał ociężale z klęczek, zbliżył się od przodu do konfesjonału. Ucałowawszy stulę, wzrok swój skierował na księdza. Z oczu księdza spływały łzy...

Wpatrzył się dokładnie w twarz księdza. Wzrok ich skrzyżował się. Wtem zaczął się skłaniać, usta nerwowo mu drgały, nogi odmawiały posłuszeństwa, z wysiłkiem oparł się o kraj konfesjonału. Rozpoznał w księdzu swego zaginionego brata.

Brat Władysław cudem uniknął śmierci. Ciężko ranny dostał się do niewoli rosyjskiej, skąd po wielu latach powrócił do Polski. Spełniając ślub swój, wyrażony na łożu boleści, wyświęcił się na księdza.

W sprawie agregacji Stow Dzieci Marii do Prima Primaria w Paryżu należy się zwracać do Najprzewielebniejszego X. Wizytatora XX. Misjonarzy w Krakowie, Stradom 4. — Odnośnie do spraw Cudownego Medalika Krucjata Cudownego Medalika w Krakowie na Stradomiu zrzessa wszystkich Czcieli Marii w całej Polsce. — Korzystajmy z rozlicznych odpustów nadanych za noszenie Cudownego Medalika i bądźmy jego apostołami!



Przez dwa tygodnie wędrował do Szunteh

W naszym szpitalu w Szunteh spotkałem jednego z licznych kalek, którzy dalekie podróże odbywają, aby przybyć do polskiego szpitala w Szunteh i odzyskać wzrok utracony.

Przed salą chorych ustawiłem na ganku stolik i krzesło, zwołałem katechistę i zacząłem wydobywać z pacjenta ciekawe szczegóły z jego życia i podróży.

— Jak się nazywasz, pocziwy człowieku?

— Moje nazwisko rodowe jest Czan, a osobiste Cchjyn juen.

— Ile masz lat?

— Mam lat 29, żonę, dwoje dzieci i kawałek ziemi w wiosce.

— Jak się nazywa twoja wioska i gdzie leży?

— Nazywa się Sędzia dżlan, leży w prowincji Honan w powiecie Cisja, blisko dużego miasta Wejchleifu.

— Czy to duża wieś? Są też tam katolicy?

— Są 4 katolickie domy na 42 rodziny.

— Czy przychodzą tam katolicy misjonarze?

— Niedawno był w sąsiedniej wiosce katolicki ksiądz. Gdy się o tym dowiedziałem, udałem się z córeczką, która mnie za rękę prowadziła, bo ja przecież nic a nic nie widzę. Byłem na jego kazaniu. Po nauce zbliżyłem się do niego i pokazałem mu moje białe oczy. Na to on mi poradził, abym się udał do Szunteh do Bramy Północnej. Jest tam — mówił — szpital polskich księży, gdzie się leczy oczy i tam ci napewno wzrok przywrócą. Więc postanowiłem się udać do Szunteh. Jednakowoż ludzie odradzali mi i twierdzili, że na moje oczy nie ma już ratunku. Byłem też przed tym u znachorów, którzy mnie przez 9 miesięcy leczyli: sypali piasek do oczu, oczy nakłuwali igłą, ale po tym leczeniu było jeszcze gorzej. To też nie pozostało mi nic innego, jak udać się do Szunteh.

Na tę daleką drogę uprosiłem sobie u ludzi 4 dolary (około 7 zł), zmieniłem je na drobne papierki, które ukryłem i zaszyłem

w ubranie i podwiązki. Tymi podwiązkami okręciłem sobie nogi. W kieszeniach więc nie miałem ani centa. Bałem się bardzo, aby mię w drodze nie okradli, a chciałem przynieść do Szunteh nieco grosza, aby móc choć wstęp do szpitala opłacić.

— A jak długo szedłeś tu dotąd i kto ci drogę pokazywał?

— Dwa tygodnie byłem w podróży i żyłem z jałmużny. Cza-sem poprowadził mnie kto kawał drogi. Raz natrafiłem kijem na wodę. Była to górską, piaszczystą rzeką. Nie wiedząc jaka jest głęboka i czyby można ją przebyć, usiadłem na piasku i czekałem. Niebawem nawinął się jakiś człowiek. Zacząłem go prosić, aby mię przez wodę przeprowadził. Lecz on domagał się ode mnie zapłaty. Stanęło na tym, że wyludził dolara. Potem wziął mię za ramię i przebrnęliśmy rzekę. Wody było po pas. Gdy mię już na drugi brzeg wyprowadził, uderzył mię gniewnie w plecy i pchnął na piasek. Wstałem i szukałem kijem dalej drogi. Na drugi dzień schwycili mnie żołnierze. Podejrzewali mnie, że jestem opiumistą. A rząd nasz takich karze śmiercią. To też dygotałem cały ze strachu, bo myślałem, że w moją trzeźwość wcale nie uwierzą. Ale gdy mnie gruntownie przepytali i całego przeszukali, zmiękli, a nawet ulitowali się nad moją ślepotą. Wzięli mię więc na swoją dwukolną powózkę i w ten sposób ujechałem z nimi kawał drogi w kierunku północnym. Kilka mil przed Szunteh stał pociąg z żołnierzami. Prosiłem ich bardzo, aby mię z sobą zabrali. Wzięli mię na wagon i tak pomiędzy bagażami przyjechałem do Szunteh. Cała ta podróż moja z Sędzia dłań do Szunteh wynosi dobre 300 klm. Gdy się wydostałem na ulice miasta, wciąż się pytałem: czy dobrze idę do Pejmyń (Bramy Północnej). Ludzie siedzący przed składami i domami wołali: prosto, potem na lewo itp. Tak więc przybyłem 28 sierpnia 1936 do bramy tutejszego szpitala. Tu spotkałem Szenkunene (Siostrę Bronisławę), która mię do szpitala wpuściła. (Siostra Bronisława przyjmuje chorych i prowadzi przy szpitalu żeńską przychodnię oczną). Potem zaprowadzono mię na oddział chorych mężczyzn i tu jestem jeszcze teraz pod opieką Cjynkunene (Siostry Heleny).

Tu zwróciłem się do Siostry i poprosiłem, aby mi powiedziała, w jakim stanie są jego oczy.

— Zanik jednego oka. Lewe oko jest owrzodziałe i pęknięte. Znachorzy mu je nadpsuli. Obecnie czyścimy je i jest nadzieja, że ks. dr Szuniewicz, gdy wróci z Wenchow, pomyślnie je zoperuje.

— A co słysząc z jego nawróceniem?

— Rwie się do katechizmu. Umie się przeżegnać i mówi pater. Jestem pewna, że po przyjęciu Chrztu św. będzie drugich do przyjęcia wiary św. nakłaniał.

Zakończyłem pogadankę z niewidomym.

Powyższe wiadomości zapewne z przyjemnością przeczytają drodzy nasi Przyjaciele i jeszcze więcej ukochają nasz polski szpital w Szunteh, który licznych pogan w podwoje Kościoła wprowadza i znajomość Polski rozszerza na Dalekim Wschodzie.

Ks. Jęczmionka C. M.



Polski misjonarz zaczyna pracę w pow. mieście Jalszae

— zyma szychol, szenfu, szan Jalszae? — Kiedy ojciec duchowny pojedzie do Jalszae? — Oto pytanie, którem mnie ustawicznie bombardowali moi przyszli parafianie.

Pewnego dnia wybrałem się z katechistą w drogę. Przygotowano rowery, sprawdzono czy nie „pchałchi“ — czy nie ucieka powierze, czy koła naoliwione.

Wyjechaliśmy z Tasindźlan i zanurzyliśmy się w proso z pochylonymi pod ciężarem plonu kłosami, w kaoliany, dumnie sterujące, zasłaniające widnokrąg. Droga wiję się, czasem zamienia na wąziutką ścieżkę wśród koalianów, które biją nas swymi badylami. Słońce miga nam w oczach.

Dojeżdżamy do Jalszae. Zdaleka widać bramę południową i wał obronny przedmieścia Nankłan (południowego przedmieścia), gdzie ma być moja siedziba. Wzrokiem szukam wieży kościelnej, jednak doszukać się nie mogę. Może schowana za domy?

Wjeżdżamy południową bramą. Stajemy przed furtką wejściową. Wchodzimy. Przed nami małe podwóreczko. Skręcamy wąskim przejściem i znowu jeszcze mniejsze podwórko.

— Gdzie kościół? — pytam. Prowadzą mnie i pokazują.

— Dżeli — tutaj.

Patrzę, zwykły dom z płaskim dachem, długi 16 m., szeroki 4 m. Spogląda na nas kratami swych chińskich okien niby więzienie. Strzępy papieru służą za szyby. Przez drzwi chińskie, na rygiel zamykane, wchodzimy do wnętrza.

Przed nami ołtarz z poukładanych cegieł-surówek, obielonych wapnem. U góry nad ołtarzem mały oleodruk, przedstawiający św. Rodzinę. Nad nim baldachim z perkalu w kwiatki. Tabernakulum z dwóch odmiennych części złożone. Sklepienie to papier pogrzyziony przez myszy i płachtami zwisający. Przez dziury widać czarne, okopcone belki bylej kuchni. Posadzka z pogruchotanej cegły.

— I to ma być kościół?

Jezus powrócił do stajenki batleemskiej.

— Chodźmy na plebanie — mówię. Prowadzą do siluli — zachodniego pokoju. Też same okna, co w kościele, tylko bez papieru. Wchodzimy. Podłoga? To ubita ziemia. Gdzie stół, krzesło? Ani jednego, ani drugiego. Brudne, odrapane ściany. Łóżko? I tego nie ma.

— Cholle szenfu nale — później przyniesiemy ojcu duchownemu.

Przynieśli. Oczywiście pożyczone.

— Gdzie szkoła? — A prawda, jest świątynia — szkoła dla dzieci. Ale tam jeszcze gorzej. Walące się gliniane domy. Chciało mi się płakać. Cóż robić?

Prosić, tak prosić te dobre i szlachetne serca, by wspomogły tę misję, obejmującą cały powiat i miasto Jalszą, 101 wsi, w tym 25, gdzie się misję daje. Blisko 1.500 chrześcijan, ale prawie wszyscy nowi przy tym biedni. Dwa lata nieurodzajów wypędziło wielu do sąsiedniej prowincji Szansi, by z głodu nie umrzeć.

Ks. Antoni Górski C. M.



Z Polskiej Misji w Wenchow (Chiny Południowe)

Czarcie figle i cuda Boże w Wenchow

Pod koniec marca b. r. udałem się z J. Eks. ks. biskupem Defebre do Ping-yang, gdzie znaczną parafią kieruje nasz ks. misjonarz Sing. Pewnego wieczoru, gdyśmy siedzieli i rozmawiali, przyszedli także katechiści i chrześcijanie. Katechista Ac-cziun-mo-lin opowiedział nam następujący wypadek, który mu się zdarzył przed paru dniami i który własnoręcznie mi opisał.

We wiosce Ngaokan-o-du od paru tygodni chorował poganin Tczong-mo-sing. Nie stary, bo około trzydziestu lat. W trzech tygodniach wysechł, wychudł i opadł ze sił. Rodzina wystraszona rada w radę uchwaliła, że należy zapytać się wróżbity. Radzono się i jakieś kobiety „jasnowidzące“, zaproszono bonzów taoistycznych, składano różne ofiary bożkom, by wypędzić szatana z chorego. Stracono немало pieniędzy. Chory jednak czuł się coraz gorzej, pięć dni nic nie jadł. Chory powiada sąsiadom i żonie, że jakiś kot chodzi po jego łóżku. Żona nie chciała wierzyć, ale dla pewności postanowiła czuwać przy chorym całą noc. Uzbroidła się w potężny nóż kuchenny, usiadła na krawędzi łóżka i czekała. Wkrótce zo-

baczyła żółtego pieska, bardzo tłustego. Biegł po koldrze chorego. Odważna kobieta przebiła psa nożem, lecz, o dziwo, pies zniknął w mgnieniu oka, a w rękę pozostał jej tylko nóż, zbaczony krwią.

Upłynęła może godzina, chory wydobywa rękę spod przykrycia i trzyma dwie ryby ruszające się, żywe. Kobieta cięła je nożem i znowu nóż zboczył się krwią, ale ryb nie znaleziono. Z hałasem upadły na ziemię. Strachu najadła się dużo niewiasta, ale postanowiła czuwać. Sen ją jednak znużył, zdrzemnęła się. Kiedy się zbudziła, krew sączyła się z jej palca rozciętego. Powiada, że to diabeł skaleczył ją nożem. Czuwała jednak przy chorym mężu, choć strach ją przejmował. Około drugiej godziny po północy widzi żółtego szczura, drapiącego się naokoło niej i przed nim. Szczur zniknął, ale obok męża zobaczyła leżącego drugiego mężczyznę o czerwonej twarzy, oczach wystających, strasznej powierzchowności. Mężczyzna ten usiadł na łóżku i nad ranem zniknął bez śladu. Kobieta wyszła z pokoju, sama nie wiedząc, co począć.

Jeden z sąsiadów, gorliwy chrześcijanin, powiada jej, że musi zostać katoliczką, to sposób znajdzie się na chorobę; w przeciwnym razie nie ma rady, chory umrze. Kobieta, zacięta poganka, nie chciała myśleć o chrześcijańskie. „Ostatecznie — powiada — mąż i inni mogą czcić Boga, ale ja chcę wierzyć po staremu“. Sama bije się z myślami, wyjścia nie ma, wreszcie zdecydowała się iść do wspomnianego katechisty i poradzić się. Z wielką trwogą przyszła do kaplicy naszej i prosi katechistę. Tłumaczy, że ona poganka, ale ma bardzo ważną sprawę: pyta, czy raczy ją wysłuchać, gotowa mu wszystko w największej tajemnicy opowiedzieć. Katechista ją zachęcił, ośmielił i wysłuchał wszystkiego cierpliwie. Kobiecie ogromnie się ulżyło na sumieniu. Katechista powiada jej, że pójdzie się modlić z chrześcijanami do łoża chorego, ale ona musi z domu wyrzucić wszystkie bożki i zabobony i musi mu przyrzec, że jeżeli mąż wyzdrowieje, ona i cała rodzina przyjmą wiarę katoliczką.

Z trudem, ale przyrzekła wszystko. Katechista poszedł, stwierdził, że bożki wszystkie usunięte, rozpoczął z siedmiu chrześcijanami modlitwy, które co wieczór trwały przez pięć dni. Wreszcie chory zupełnie wyzdrowiał. Dnia 8 marca b. r. w niedzielę cała rodzina stawiała się w kościele, stosownie do przyrzeczenia, nabyła katechizmy i zaprawia się żywo do życia chrześcijańskiego.

*

W pierwszych dniach lutego b. r. wybrałem się do wioski Nandzie-den, odległej od Wenchow o dobre dwie godziny drogi piechotą. Chodziło mi o to, by tam zamieszkać przy naszej kaplicy, a codziennie przez parę dni iść na wsie czysto pogańskie z kaza-

niami. Przy tej sposobności przypatrzyłem się procesji smoka. Smok ten sporządzony jest z papieru różnokolorowego. Głowa olbrzymia, paszcza otwarta, jęzor wywalony, groźne oczy, tułów z płótna długości dziesięciu do piętnastu metrów lub nawet więcej. Kręgi tułowia i głowa w kształcie lampionów ze świecami w środku, ogon długi, centkowany, całość zupełnie podobna do smoków apokaliptycznych, spotykanych w naszych książkach religijnych. Kilkudziesięciu mężczyzn, młodzieńców wśród dźwięku trąb, bębnów, gongów, wystrzałów obnosi tego smoka po wszystkich drogach, opłotkach, polach, lasach należących do danej gminy, bo każda gmina urządza własną uroczystość smoka.

Celem tej procesji jest uproszenie u smoka dobrych urodzajów. Stara „teologia“ pogańska powiada, że deszcz to pot smoka. Jeżeli ten smok mieszkający na wysokościach wśród chmur nie da potu, panuje posucha. Z wiosną należy mu się przypodobać i uprosić urodzaje.

Z całą tą ceremonią są związane znaczne koszty. Trzeba sporządzić całego smoka i nakupić ogni sztucznych; uczestnicy procesji darmo nie pójdą, trzeba im dać zjeść i napić się i t. d. Ponieważ smok ma jednak tak wielkie znaczenie dla rolnictwa, zatem i dla społeczeństwa przodkowie już wszystko obmyślili, żeby ta instytucja nie upadła. Istnieją fundacje, kawał dobrego gruntu, który uprawia co rok inna rodzina, z obowiązkiem urządzania procesji. Rzecz prosta, nikt nic nie traci, nie potrzeba składek, a i dana rodzina jeszcze z owego kawałka gruntu coś dla siebie zostawi. W domu tejże rodziny znajduje się jakby mózg smoka, a początek procesji — w pagodzie jakiejś, z której wyrusza pochód. Łatwo odgadnąć, że jest to także poważną przeszkodą w nawracaniu. Chrzescijanie bowiem nie mogą urządzać takich zabobonów, a zatem i pola do uprawy nie dostaną.

Podobna przeszkoda istnieje w każdym rodzie. Każdy ród tutaj prowadzi bardzo ściśle swoje metryki i ma osobny, wspólny „dom przodków“. Nie mieszka w nim nikt, na ołtarzu są tam tylko ustawione naczynia do palenia kadzidła dla każdego ze zmarłych danego rodu. Jego dusza jest tam jakby uosobiona. Do tego domu jest przydzielony kawał ziemi, której dochód ma służyć na urządzenie ofiar dla zmarłych z różnych wiktuałów, które następnie spożywają członkowie danego rodu. Grunt ten uprawia co roku kolejno inny z członków rodu, z czego dla siebie ma również duży pożytek. Jeżeli ktoś zostaje katolikiem, traci grunt, dom wspólny i uczę... Na to trzeba heroizmu!

Ale wróćmy do smoka. Uroczystość zaczyna się wnet z południa, ale najważniejsza jej część i najwięcej urozmaicona odbywa

się wieczorem i nocą. Wieczorem tłumy ludu postrojonego, mężczyzn i kobiet, zbierają się w pagodzie jakiejś, rzęsiście oświetlonej, gdzie składają ofiary bożkom. Następnie pochód rusza na wieś od domu do domu. Każda rodzina zastawia stoły obficie, wszyscy wtedy mogą jeść i pić i chwałą lub ganią gospodarza, jego zastawę, dostatek, stroje. Oczywiście każdy chce się pokazać, biedni zapożyczają się, ale muszą się pokazać. Co się przy tym ubocznie dzieje w ciemnościach nocy, łatwo wynioskować.

Pewnego wieczoru, w czasie wspomnianych uroczystości, siedziałem w kaplicy, gdzie zebrało się paru chrześcijan na modlitwy wieczorne. Nagle wchodzi do kaplicy duże towarzystwo mieszane. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, gdzie weszli; widzieli światło, więc przyszli. Zapraszamy ich, by usiedli i obiecujemy im wytłumaczyć wszystko. Kiedy się względnie uspokoiło, wyszedłem przed ołtarz i zacząłem mówić o Bogu Stwórcy, o duszy ludzkiej, o rzeczach ostatecznych człowieka, o konieczności czci Pana nieba... Widziałem jednak, że słuchali tylko jednym uchem, niektórzy zaczęli się wysuwać. Kobiety wszystkie poszły, mężczyzn wielu zostało. Mówił po mnie jeszcze katechista, ale czy jakieś ziarno padło na glebę żyzną?

Uroczystość smoka we wiosce to rzecz wielka. Wszyscy starają się wtedy być w domu, dom porządkują, ozdabiają, sprawiają nowe ubrania, drogi naprawiają, przy brudnych miejscach palą kadzidła, by smok z przyjemnością przechodził. Można by to porównać chyba z procesją Bożego Ciała w Polsce. Sama wioska Nan-dzie-den niewielka i niebogata wydała na tę uroczystość około pół tysiąca dolarów chińskich, co na tutejsze stosunki jest sumą olbrzymią, podobnie jakby wieś polska wydała jakie pięć tysięcy złotych! Dla Kościoła nie ma się grosza, ale na takie zabobony jest wszystko.

*

Przed paru dniami opowiadał mi jeden z naszych gorliwych i inteligentnych chrześcijan, że obok niego mieszkał pogański chłopiec, może 17-letni, który chciał się nawrócić i na szyi nosił cudowny medalik na sznureczku. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że medalik mu upadł na ziemię. Bada wszystko dokładnie i widzi, że sznurek cały, medalik z całym uszkiem, nie nie uszkodzonym. Jak to się stać mogło?

Ciekawy również wypadek opowiadał mi nasz katechista z południowego przedmieścia Wenchow. Zeszłego roku, w czerwcu, poproszono go do domu poganina Wu-s-mei, żeby się modlił przy chorej kobiecie. Poganin ów, lat powyżej 30, bardzo gorliwie czcił wszelkie bałwany i dawał pieniądze na uroczystości zabobonne. Nagle zachorowała mu żona. Odczuwała silny ból we wnętrznościach.

Lekarze nie znaleźli żadnej choroby, lekarstwa żadne nie pomagały. Wzywano bonzów buddystycznych, taoistycznych, ból jednak jeszcze się zwiększył. Poganin musiał się upokorzyć i prosić prawdziwego Boga o pomoc. Ilekróć katechista zaczynał modlitwy, ból ustawał, a po modlitwach znowu powracał. Ostatecznie po 5—6 takich wspólnych modlitwach ból nie wrócił zupełnie. Cała rodzina się nawróciła i jest gorliwą.

W roku obecnym, z wiosną, urządzono w mieście uroczystość La-ka-fu (zatrzymanie bożka szczęścia). Połączone to jest z różnymi publicznymi rozrywkami i kosztuje dużo pieniędzy. Paganie kwestują na to, chodząc od domu do domu. Nasi chrześcijanie są wolni od tego podatku, jednak ów Wu-s-mei nie mógł się powstrzymać i dał 80 groszy składki. Kara Boża spotkała go natychmiast. W tej chwili żona dostała bólów nieznosnych wewnętrznych. Mąż dorozumiał się zaraz przyczyny. Już nie szukał lekarstw, ale koniecznie wyznaje winę katechiście i prosi o modlitwy, obiecując, że na przyszłość już się „to“ nie powtórzy. Po modlitwach przy łóżu chorej, bóle ustały i znowu cała rodzina przychodzi gorliwie do kościoła, odwracając nawet wzrok od wszelkich zabobonów.

*

Ten sam katechista Zi-ke-li opowiadał mi inny, podobny wypadek, jak diabeł dopomógł nam w pracy misyjnej. Zi-ja-saj już dawno się nawrócił, ochrzcił, z czasem jednak ostygł i do kościoła więcej nie chodził. A nawet ożenił się z protestantką, bez żadnej dyspensy. Tym czasem roku zeszłego zachorował. Dziwna to była choroba. Miał gorączkę i coś w rodzaju obłądu, bez żadnej choroby umiejscowionej. Pewnego dnia chory powiada, że trzeba poprosić katechistę o modlitwy, bo to jedyny sposób. Katechista przyszedł dwukrotnie, ale modlitwy były bezskuteczne. Żona protestantka nie brała w nich udziału, nawet nie uklękała. Katechista zwrócił jej uwagę, że jeżeli ona nie chce się modlić i o nawróceniu nie myśli, on więcej przychodził nie będzie. Wezwano protestanckich pastorów do modlitwy. Choroba jednak jeszcze bardziej się wzmogła, więc poproszono z powrotem katechistę naszego.

Katechista przyszedł, ale oświadczył, że tylko wtedy modlić się będzie, jeżeli oboje przyrzekną, że małżeństwo uregulują, żona będzie się modliła i nawróci się. Przyobiecali solennie. W czasie modlitw katechista pyta jednak chorego: „Kto ty jesteś?“ „Nie powiem“ odpowiada. „Czy pójdziesz z tego chorego?“ „Pójdę“. Kiedy drugi raz katechista przyszedł na modlitwy, żąda od złego ducha wyrażnie, by wyszedł i dał podpis własnoręczny według chińskiego zwyczaju, że już więcej nie wróci. Chory odpowiedział, że podpisu nie da, ale wyjdzie i już więcej nie wróci. Zaczęto znowu modli-

twy, chory leżał bezwładny, wyczerpany, nagle drgnął i powstał zupełnie zdrów.

Katechista zapytał teraz chorego, kto przez niego przemawiał? Powiada, że widział jakiegoś czarnego mężczyznę obok siebie, który do ucha mu szeptał odpowiedzi. Prócz niego nikt jednak tego człowieka nie widział. Wielu natomiast widziało czarnego psa, którego katechista również nie widział.

Na drugi dzień katechista znowu przychodzi do domu chorego i pyta, czy diabeł powrócił, czy nie? Z radością odpowiadają, że nie, że wszystko dobrze, w spokoju. Zebrał się tłum ludzi, przeważnie pogan — jak za każdym razem. Opowiadają między sobą, że ten katechista to dziwny człowiek, moc ma wielką, bo nawet diabły potrafi wypędzić. Katechista mówi kazanie do wszystkich, wyjaśnia, że to nie własną mocą czyni, ale mocą Jezusa Chrystusa, którego wizerunek na krzyżu im pokazuje. Powiada, że ten diabeł jest lepszy od niejednego człowieka. Wczoraj powiedział, że wyjdzie i nie wróci i — dotrzymał słowa, a ludzie często obiecują, że przyjdą czcić Pana Boga, a potem obietnic nie dotrzymują. Tłum ruszał głowami z podziwu, ale nikt z nich prócz uzdrowionego nie przyszedł czcić Pana Nieba.

Obecnie Zi-ja-saj znowu wiernie uczęszcza do kościoła, a żona gotuje się do chrztu i uregulowania małżeństwa.

Co kto będzie sądził o tych wypadkach, to dla piszącego zupełnie obojętne. To jest faktem, że są choroby, na które jedynym lekarstwem modlitwa i gorliwość w wierze. Wygląda to na „chorobę diabelską“, która ogólnie jest znana u tutejszych pogan. Czasem składają i niesłusznie na szatana różne winy, ale czy w tym nie tkwi coś prawdy? W naszych wypadkach trudno sądzić inaczej, jednak każdy może snuć własne domysły.

Ks. Paweł Kurtyka C. M.



KALENDARZ CUDOWNEGO MEDALIKA NA ROK 1937

o treści bardzo aktualnej, mariologicznej, misyjnej, charytatywnej i społecznej przywodzi wiele ciekawych nowych rzeczy. Bardzo upraszamy o łaskawe rozpowszechnianie tegoż głosu Marii Niepokalanej! Kto gorliwie rozszerza Kalendarz i Rocznik Mariański na 1937 r. otrzyma bardzo piękne dziełko: „CHRYSTUS Z NAMI“ w nagrodę!



Helcja: Pan Jezus powiedział, że większa jest radość w niebie z jednego grzesznika nawróconego niż z 99 sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty.

Lollja: O Boże w dobroci nigdy nie przebrany, czemu Cię opuściłam!

Helcja: Ufaj Panu siostró.

Lollja: Czy on mógłby mi przebaczyć jeszcze? Nawet zdradę i odstępstwo?

Helcja: Piotr zaparł się Go po trzykroć!

Lollja: Więc i dla mnie mogłoby być przebaczenie? I ja nędzna mogłabym mieć nadzieję zobaczyć matkę w niebie... Myśl o takim wielkim miłosierdziu napętnia mnie podziwem! Wielkość Jego ku nam miłości przyniata mnie! Więc i dla mnie jest jeszcze nadzieja?

Helcja: Bóg Cię woła!

Lollja (prawie z obłędem): Stój Helcjo! Nie dla mnie słodkie uczucie nadziei! Czy nie widzisz tych rąk niewinnych przeciw mnie podniesionych ku Bogu. O krew przelaną obwiniają mnie! Krew widzę wszędzie krew. Morze krwi! Zbrodnia moja jest tak wielka, że Bóg się ode mnie odwrócił. Krew wzbiera, rośnie, wszystko zalewa krew! krew!

Helcja (na stronie): Jaka ona straszna! O aniele stróżu, który ją strzeżesz daj mi swojej siły. (Do Lollji). Ufaj Panu siostró.

Lollja: Panu? Bogu? to niemożliwe. Czy On może mi przebaczyć śmierć swych dzieci!

Helcja: Słuchaj Lolljo. Wczoraj rozmawiałam o tobie z naszym kapłanem i oto słowa, które mi powiedział: Owczarnia zawsze otwarta dla zbłąkanej owieczki. Dziecko marnotrawne niech wróci do Ojca. Zanieś jej te słowa i powiedz, że chrześcijanie czekają powrotu swej siostry.

Lollja: Helcjo czy to możliwe? Więc mogłabym uciec z tego pałacu? Od tych ludzi i bogactw, którymi się teraz brzydzę?

Helcja: Możesz, choćby dziś!

Lollja: Dziś? Tak zaraz? Ale dokąd pójdę? Zemsta Maxymy dosięgnie mnie wszędzie.

Helcja (przygarnia ją do siebie i mówi szeptem): Słuchaj Lolljo! W tym ogromnym cesarskim pałacu ja nie jestem jedyną chrześcijanką! Jest nas tu wiele a niektórzy stoją blisko osoby samego cesarza. Nieraz mówiliśmy o tobie, pragnąc byś powróciła do wiary świętej. Wszystko przygotowane jest do naszej ucieczki. Schronienie masz zapewnione u pewnej patrycjuszki, tam cię już Maxima nie dosięgnie. O Lolljo droga uciekajmy razem z tego domu zbrodni i rozpusty. Tam znajdziemy spokój i Chrystusa.

Lollja (jeszcze się nie może zdecydować): A Maxima! Boję się!

Helcja (bardzo poważnie): Lolljo godzina łaski wybiła, ale może minąć bezpowrotnie!

Lollja (zamyślona): Słyszę... i idę!

Helcja (ściska ją): Upewnię się tylko czy droga wolna!

Scena III

(Lollja sama na środku sceny i zdejmuje klejnoty rzucając je na ziemię, względnie na jaki stolik, żeby nie zawadzały w dalszej akcji).

Lollja: Żegnajcie więc bogactwa tak drogo okupione, żegnaj pałacu świetny błyszczący od złota, który jesteś dla mnie więzieniem. Żegnajcie zaszczyty, których mi zazdroszczą, a które ciążą mi jak kajdany. Gardzę wami o tyle, o ile was kochałam.

Scena IV

(Wchodzi Maxima).

Maxima: Hej Lolljo to tak się przygotowujesz na ucztę cesarzowej?

Lollja (bardzo zmieszana): Pani...

Maxima (szydlerczo): Cóż cię mój widok tak zmieszał? Może popełniłaś jakie nowe szaleństwo?

Lollja: Tu nie o to chodzi Maximo!

Maxima: A więc co?

Lollja (przybiera postawę znudzoną leniwą): Czuje się dziś chora, zmęczoną i wcale nie mam ochoty być na uczcie cesarzowej!

Maxima: Dziwna i nagle jakaś choroba Lolljo... Jaka jej nazwa?

Lollja (zmieszana): Co... co to znaczy?

Maxima: To znaczy że już piąty raz wymawiasz się od towarzysstwa cesarzowej! Uważaj... bo zacznę coś podejrzywać!

Lollja (na stronie): Boże! ona się wszystkiego domyśla (głośno): Nie... wiem co chcesz powiedzieć...

Maxima (chłodno): To możliwe! W każdym razie przypominam ci moja siostrę nieco, że jesteś pod moją władzą i zupełnie ode mnie zależy, piękna Lolljo.

Lollja: Niestety!

Maxima: Masz mnie słuchać pamiętać!

Lollja (z rozpaczą): O Helcjo! (wychodzi).

Scena IV

Maxima (sama. Patrzy z pogardą): Charakter słaby, niestały, niewyrobiony! Skąd jej mogła przyjść myśl oporu? Nie trudną wprawdzie była walka. Ale jednak od kilku dni daje się czuć wpływ przeciwny mojemu... Czyżby Helcja? Oto nadchodzi, pewnie się umówiły i schodzą się potajemnie bez mojej wiedzy! No spotka ją zawód... Trzeba się ukryć i podchwycić choć kilka słów! (Kryje się za firankę).

(Wchodzi Helcja).

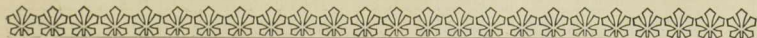
Helcja: Lollja! Co? już jej nie ma! (z rozpaczą). Daremne moja praca. Tak dobra sposobność ucieczki już nie prędko nadejdzie. Wystarczyła jedna chwila żeby zamięłowanie przyjemności i zbytków wzięło górę w tym niestałym sercu. Cóż teraz pocznę? Nie mam już siły do walki. Panie Jezu zmiłuj się Ty nad nami, jam taka słaba i nic nie znacząca, mam tylko wielką miłość w sercu dla Ciebie i dla niej. O ty Mocy nieskończona, której się nic nie oprze, wzrusz jej serce. Niech wróci do Ciebie. Nie mam Ci nic do ofiarowania na jej okup. Ale jeżeli chcesz mego życia z radością je oddam za nią! Po cóż się tu dłużej zatrzymywać? Trzeba wracać do swoich obowiązków. Biedna Lollja! (wychodzi).

Scena V

Maxima: Więc jest tak jak myślałam! Siostry się schodzą potajemnie, Helcja niewolnica chce nawrócić do Boga chrześcijan Lollję patrycjuszkę. Ale ja tu jestem na straży. Ja ich ciotka! To jest walka o duszę? Dobrze stać do tej walki i zwyciężyć! Choćbym miała ją oskarżyć o chrześcijaństwo. Choćbym miała tę córkę mego brata na męczeństwo wydać! (śmieje się). Ah! ah! ah! Między nami teraz lilijko biała! (wybiega).

Koniec aktu II.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Heleja: Pan Jezus powiedział, że większa jest radość w niebie z jednego grzesznika nawróconego niż z 99 sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty.

Lollja: O Boże w dobroci nigdy nie przebrany, czemu Cię opuszciam!

Heleja: Ufaj Panu siostró.

Lollja: Czy on mógłby mi przebaczyć jeszcze? Nawet zdradę i odstępstwo?

Heleja: Piotr zaparł się Go po trzykroć!

Lollja: Więc i dla mnie mogłoby być przebaczenie? I ja nędzna mogłabym mieć nadzieję zobaczyć matkę w niebie... Myśl o takim wielkim miłosierdziu napęlnia mnie podziwem! Wielkość Jego ku nam miłości przyniata mnie! Więc i dla mnie jest jeszcze nadzieja?

Heleja: Bóg Cię woła!

Lollja (prawie z obłędem): Stój Helejo! Nie dla mnie słodkie uczucie nadziei! Czy nie widzisz tych rąk niewinnych przeciw mnie podniesionych ku Bogu. O krew przelaną obwiniają mnie! Krew widzę wszędzie krew. Morze krwi! Zbrodnia moja jest tak wielka, że Bóg się ode mnie odwrócił. Krew zbiera, rośnie, wszystko zalewa krew! krew!

Heleja (na stronie): Jaka ona straszna! O aniele stróżu, który ją strzeżesz daj mi swojej siły. (Do Lollji). Ufaj Panu siostró.

Lollja: Panu? Bogu? to niemożliwe. Czy On może mi przebaczyć śmierć swych dzieci!

Heleja: Słuchaj Lolljo. Wczoraj rozmawiałam o tobie z naszym kapłanem i oto słowa, które mi powiedział: Owczarnia zawsze otwarta dla zbłąkanej owieczki. Dziecko marnotrawne niech wróci do Ojca. Zanieś jej te słowa i powiedz, że chrześcijanie czekają powrotu swej siostry.

Lollja: Helejo czy to możliwe? Więc mogłabym uciec z tego pałacu? Od tych ludzi i bogactw, którymi się teraz brzydzę?

Heleja: Możesz, choćby dziś!

Lollja: Dziś? Tak zaraz? Ale dokąd pójdę? Zemsta Maxymy dosięgnie mnie wszędzie.

Heleja (przypinając ją do siebie i mówi szeptem): Słuchaj Lolljo! W tym ogromnym cesarskim pałacu ja nie jestem jedyną chrześcijanką! Jest nas tu wiele a niektórzy stoją blisko osoby samego cesarza. Nieraz mówiliśmy o tobie, pragnąc byś powróciła do wiary świętej. Wszystko przygotowane jest do naszej ucieczki. Schronienie masz zapewnione u pewnej patrycjuszki, tam cię już Maxima nie dosięgnie. O Lolljo droga uciekajmy razem z tego domu zbrodni i rozputy. Tam znajdziemy spokój i Chrystusa.

Lollja (jeszcze się nie może zdecydować): A Maxima! Boję się!

Heleja (bardzo poważnie): Lolljo godzina łaski wybiła, ale może minąć bezpowrotnie!

Lollja (zamyślona): Słyszę... i idę!

Heleja (ściska ją): Upewnię się tylko czy droga wolna!

Scena III

(Lollja sama na środku sceny i zdejmując klejnoty rzucając je na ziemię, względnie na jaki stolik, żeby nie zawadzały w dalszej akcji).

Lollja: Żegnajcie więc bogactwa tak drogo okupione, żegnaj pałacu świetny błyszczący od złota, który jesteś dla mnie więzieniem. Żegnajcie zaszczyty, których mi zazdroszczą, a które ciężą mi jak kajdany. Gardzę wami o tyle, o ile was kochałam.

Scena IV

(Wchodzi Maxima).

Maxima: Hej Lolljo to tak się przygotowujesz na ucztę cesarzowej?

Lollja (bardzo zmieszana): Pani...

Maxima (sztycherzo): Cóż ciój widok tak zmieszał? Może popeliłaś jakie nowe szaleństwo?

Lollja: Tu nie o to chodzi Maximo!

Maxima: A więc co?

Lollja (przybiera postawę znudzoną leniwą): Czuję się dziś chorą, zmęczoną i wcale nie mam ochoty być na uczcie cesarzowej!

Maxima: Dziwna i nagle jakaś choroba Lolljo... Jaka jej nazwa?

Lollja (zmieszana): Co... co to znaczy?

Maxima: To znaczy że już piąty raz wymawiasz się od towarzysztwa cesarzowej! Uważaj... bo zacznę coś podejrzewać!

Lollja (na stronie): Boże! ona się wszystkiego domyśla (głośno): Nie... wiem co chcesz powiedzieć...

Maxima (chłodno): To możliwe! W każdym razie przypominam ci moja siostrę nieco, że jesteś pod moją władzą i zupełnie ode mnie zależysz, piękna Lolljo.

Lollja: Niestety!

Maxima: Masz mnie słuchać pamiętaj!

Lollja (z rozpaczą): O Helcjo! (wychodzi).

Scena IV

Maxima (sama. Patrzy z pogardą): Charakter słaby, niestały, niewyrobiony! Skąd jej mogła przyjść myśl oporu? Nie trudną wprawdzie była walka. Ale jednak od kilku dni daje się czuć wpływ przeciwny mojemu... Czyżby Helcja? Oto nadchodzi, pewnie się umówiły i schodzą się potajemnie bez mojej wiedzy! No spotka ją zawód... Trzeba się ukryć i podchwycić choć kilka słów! (Kryje się za firankę).

(Wchodzi Helcja).

Helcja: Lollja! Co? już jej nie ma! (z rozpaczą). Daremne moja praca. Tak dobra sposobność ucieczki już nie prędko nadejdzie. Wystarczyła jedna chwila żeby zamięłowanie przyjemności i zbytków wzięło górę w tym niestałym sercu. Cóż teraz pocznę? Nie mam już siły do walki. Panie Jezu zmiłuj się Ty nad nami, jam taka słaba i nic nie znacząca, mam tylko wielką miłość w sercu dla Ciebie i dla niej. O ty Mocy nieskończona, której się nie nie oprze, wzrusz jej serce. Niech wróci do Ciebie. Nie mam Ci nic do ofiarowania na jej okup. Ale jeżeli chcesz mego życia z radością je oddam za nią! Po cóż się tu dłużej zatrzymywać? Trzeba wracać do swoich obowiązków. Biedna Lollja! (wychodzi).

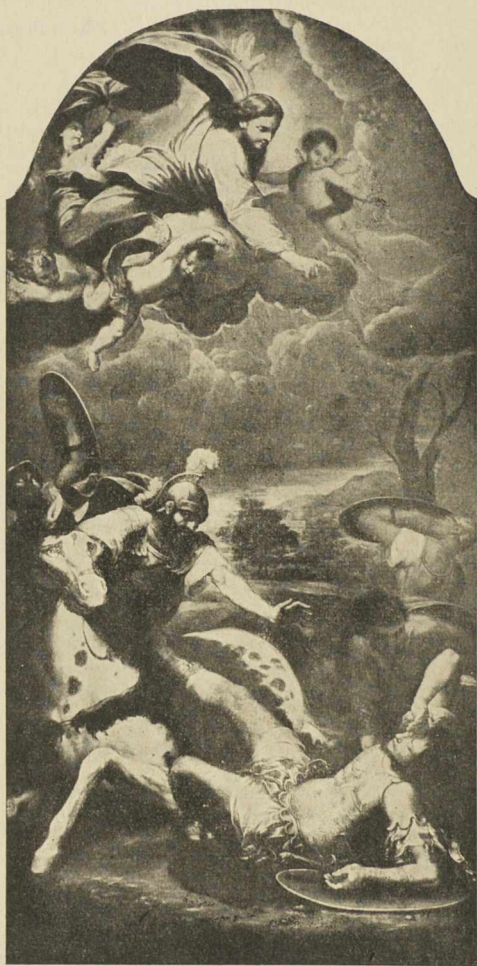
Scena V

Maxima: Więc jest tak jak myślałam! Siostry się schodzą potajemnie, Helcja niewolnica chce nawrócić do Boga chrześcijan Lollję patrycjuszkę. Ale ja tu jestem na straży. Ja ich ciotka! To jest walka o duszę? Dobrze staję do tej walki i zwyciężę! Choćbym miała ją oskarżyć o chrześcijaństwo. Choćbym miała tę córkę mego brata na męczeństwo wydać! (śmieje się). Ah! ah! ah! Między nami teraz lilijko biała! (wybiega).

Koniec aktu II.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Nawrócenie św. Pawła apostoła
obraz pędzla Konicza w kościele XX. Misjonarzy w Krakowie na Stradomiu

Stowarzyszenie Dzieci Marii w par. św. Wincentego a Paulo we Lwowie

Stowarzyszenie nasze jest pewnie najmłodszym, bo datuje się jego kanoniczne zaprowadzenie od dnia 8 grudnia 1935 r.

Za staraniem Czcigodnego Ks. Proboszcza tutejszej parafii Ks. Stanisława Kałęznego w dniu 8 grudnia 1935 r. odbyło się pierwsze przyjęcie bardzo uroczyste. Piękny to był widok, a dla nas ta chwila nigdy nie zapomniana, kiedyśmy w liczbie 10 kandydatek ubranych w bieli ze świecami otoczyły ołtarz Niepokalanej Dziewicy i po odśpiewaniu „Ave Maris Stella“, po złożeniu przez nas przyrzeczenia i pięknym przemówieniu Czcigodnego Ks. Proboszcza, który jest naszym Ojcem Dyrektorem, otrzymały z Jego rąk niebieskie medale. Do zielonego medalu było przyjętych 7 członkiń. Na tej pierwszej naszej uroczystości byli obecni Przew. Ks. Ks. Wika-ry Ks. Warkocz i Ks. Kołodziej i dużo życzliwych nam osób z Akcji Katolickiej i Bractwa Różańcowego, na których ta uroczystość zrobiła bardzo miłe wrażenie, nam zaś pozostanie ona na zawsze wspomnieniem najmiłszego dnia w naszym życiu. Po skończonym ceremoniale staraniem Czcigodnego Ojca Dyrektora miałyśmy wieczorem wspólną herbatkę, miłą pogawędkę i na zakończenie wspólną fotografię.

Dnia 21 maja 1936 r. odbyło się drugie przyjęcie; zostało przyjętych 6 aspirantek do Dzieci Marii, a 4 do zielonego medalika. Na tę uroczystość przybyło jeszcze więcej gości, jak na pierwsze przyjęcie, z życzeniami, by to nasze piękne Stowarzyszenie coraz liczniej i silniej się organizowało i rozwijało, które do tego czasu, choć jeszcze tak młode i nie-liczne, w parafii okazuje dużo żywotności swoimi, wcale udatnymi, im- prezami.

Pierwszym takim występem był „Nowy Rok 1936“, a więc życzenia noworoczne i dialogi: „Nowy Rok i Żyd“, „Krakowianka i cyganka“, przy tym zaśpiewałyśmy kilka kołęd.

W święto papieskie ku czci Ojca Świętego odbyła się uroczysta aka- demia, w której brały udział wszystkie organizacje parafialne. Nie brakło tam i naszych Dzieci Marii i ku ogólnemu zadowoleniu nasze Kółko ama- torskie wywiązało się świetnie.

Dnia 3 maja 1936 r. Stowarzyszenie odegrało przedstawienie p. t. „Obraz Matki Najświętszej“ w 3 aktach, oraz krotoczwile „Wam się ła- two śmiać“.

Zebrania odbywają się regularnie co tydzień z S. Dyrektorką, a raz w miesiącu z Czcigodnym Ojcem Dyrektorem. Stowarzyszenie rośnie w liczbę, prawie co tydzień zgłaszają się nowe kandydatki, dzięki życzli- wej atmosferze Czcigodnego Ojca Dyrektora. Obecnie liczy 50 członkiń.

Prezydentka:

Kołażanka Antonina

Sekretarka:

Kubička Stanisława

Uroczystość w Stow. Dzieci Marii w Warszawie ul. Radna 14 w dniu Imienin Najcz. Ks. Dyr. Bronisława Niemkiewicza

Dnia 3 września Stowarzyszenie nasze obchodziło uroczyste Dzień Imienin Swego Ukochanego Dyrektora, Najcz. Ks. Bronisława Niemkiewicza

Dzień ten z roku na rok przybiera na znaczeniu, z roku na rok na- biera cech podniosłej uroczystości — a osoba Najcz. Ks. Dyrektora staje się nam coraz bardziej droga i wielka, bo też praca Jego nad nami — wydaje owoce obfite i o wielkim znaczeniu.

I choć słowa, w których składamy życzenia i wyrażamy nasze uczu- cia względem Najcz. Ks. Dyrektora są co rok może te same lub podobne — to jednak pragniemy, aby były one, jako ta pieśń skowronka, który prze- cież zawsze te same śpiewa melodie — a wszakże co rok nowe znajdujemy w nich tony, nowe barwy i pod ich wpływem nowych doznajemy uczuć.

Uroczysty ten dzień rozpoczęliśmy o godz. 7.30 nabożeństwem w kościele św. Krzyża. W przybranej kwieciami kaplicy Matki Boskiej — której ołtarz tonął w powodzi białego kwiecia — zebrali się liczne rzesze członków, aby uczestniczyć w uroczystej Mszy św., odprawionej przez Czciwego Solenizanta. Podczas Mszy św. śpiewał chór Dzieci Marii oraz wykonano melodie kościelne na wiołonczeli.

O godz. 5 po południu zebrali się w pięknie udekorowanej sali naszego domu wszystkie członkinie Stowarzyszenia. Patrząc po obliczach zebranych sióstr — widziało się, że na najmiłszą przybyły uroczystość — bo radość wielka i uczucie wdzięczności malowały się na nich, jako ten zewnętrzny objaw szczerych uczuć, które każda żywiła w sercu.

Uroczysty i podniosły nastrój przybrał niezmiernie na wyrazie dzięki przybyciu Przewiel. Ks. Superiora J. Rzymelki, Księża Misjon. od św. Krzyża, oraz będącego wówczas w Warszawie Ks. Misjonarza z Chin. Przybyło również grono Sióstr Miłosierdzia.

Salę przybrano z wyjątkową troskliwością i starannością: a więc zwisające z sufitu na 4 rogi sali — wieniec z choiny jodły i sosny; ściany przybrane zielenią; wejście na salę obstawione szpalerem palm i kwiatów. A wszystko w powodzi światła...

Wchodzącego na salę Najcz. Ks. Dyrektora — zebrani powitali okrzykami: „Najcz. Ks. Dyr. niech żyje!”

Na wstępie chór Dzieci Marii odśpiewał kilka pieśni na cześć Najcz. Solenizanta — po czym przemawiała w imieniu całego Stow. — prezydentka.

W słowach prostych i niewyszukanych wyraziła ona wdzięczność największą, płynącą szczerze z serc wszystkich Dzieci Marii — oraz życzyła wszystkim łask bożych — owego największego szczęścia — za tę pracę dla dobra biednych i opuszczonych, jaką Najcz. Solenizant podjął i niezmordowanie prowadzi, znacząc swą działalność czynami wielkiej doniosłości.

Szczególnie serdecznie dziękowała prezydentka Najcz. Ks. Dyktorowi za wprowadzenie do kaplicy naszej Najśw. Sakramentu. I mówiła dosłownie, że Dzieci Marii, mając wśród siebie Ciało Syna Bożego — usilnie starać będą „aby było mu tak dobrze, jak dobrze było mu w Betanii u dobrej Marii i pracowitej Marty”.

Przemówienie to zakończone wzniesieniem okrzyku: „Najcz. Ks. Dyrektor niech żyje!” — wywołało łzy w oczach wielu obecnych na sali i nagrodzone zostało licznymi oklaskami.

Po przemówieniu wręczyła prezydentka Najcz. Solenizantowi bukiet białych róż, dar całego Stowarzyszenia.

Następnie po krótkim przyspiewie chóru składały życzenia kierowniczkii Kółek: Różańcowego, Misyjnego, Samarytańskiego, Śpiewaczego, Bieleńskich oraz Kółka Amatorskiego.

Również każda z nich — wzorem prezydentki — składała Najcz. Ks. Dyktorowi wiązanek róż.

Liczne brawa oraz wesoła niespodzianka wywołało pojawienie się na scenie gospodyni Pustelnika w stroju ludowym z dwoma koszami pełnymi jarzyn. Po złożeniu życzeń, kosze te złożyła w darze Najcz. Ks. Dyktorowi.

Z kolei Kółko Amatorskie odegrało sztuczkę sceniczną p. t. „Swaty”. Przedstawienie udało się znakomicie a zespół w licznych scenach pełnych humoru zbierał huczne brawa.

Na zakończenie przemawiał Najcz. Ks. Dyrektor. W słowach nadzwyczaj pięknych i serdecznych dziękował On za złożone Mu życzenia — podkreślając, że wszystko co czyni — czyni dla większej chwały Pana i ku większej czci Najśw. Pani, i dzieci, oraz zaznaczył, że okazane w dniu tym szczególnie wyraźnie objawy wdzięczności — kieruje On ku Zgromadzeniu Ks. Ks. Misjonarzy, w którego szeregach będąc, pełni swe szczerne posłannictwo.

Wspomnienia tych chwil zawsze należeć będą do najmiłszych i na długo pozostaną w naszej pamięci.

J. D., Dziecko Marii

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

Redaktor: X. Pius Pawellek, Misjonarz



Kalendarz Cudownego Medalika na Rok Pański 1937

Kalendarz Cudownego Medalika na r. 1937 zawiera artykuły o treści mariologicznej i sprawach apostołstwa Cudownego Medalika, treści misjologicznej i charytatywnej, zapoznaje bardzo dokładnie czytelników ze zwyczajami w Chinach. Działalność swoją długoletnią w Brazylii zobrazował ks. Kominek w artykule „Boto-kudzi”. Dowiadujemy się z Kalendarza o dwusetnej rocznicy kanonizacji św. Wincentego a Paulo. Przed oczyma naszymi przesuwają się wybitne postacie katolickie, jak ks. Baudouin, jałmużnik Warszawy, Contardo Ferrini i Brat Albert. Cudowny Medalik promieniuje na wielu stronach Kalendarza. I Lourdes krzepi umysły i podaje strapiionym drogę do nadziei chrześcijańskiej. Wreszcie zachęca wiernych czytelników do pamięci na zmarłych braci i siostry. — Humorystyczny dział objęły rysunki nad poszczególnymi miesiącami. — Pomimo tak wielkiej różnolitej i obfitej treści cenę za egz. ustanowiliśmy od 70 gr. do 1 zł. wzgl. pozostawili dobrym sercom, które owiane duchem miłosierdzia chrześcijańskiego. przecież i w tym także roku nie zostawią nas bez skutecznej pomocy. Zatem jak najgoręcej upraszamy Wszystkich Apostołów Niepokalanie Poczętej i Jej precudnego daru Cudownego Medalika, aby po życzliwym przyjęciu Kalendarza Cudownego Medalika również życzliwie przysłali nam z ochotną pomocą przesyłając jak najrychleż ofiarę za Kalendarz.

PODZIĘKOWANIA

Wywiązując się z danej obietnicy, składam najserdeczniejsze podziękowanie Matce Najświętszej od Cudownego Medalika za otrzymane łaski za pośrednictwem Błog. Katarzyny Labouré z prośbą o dalszą opiekę.
Skromną ofiarę (2 zł) załączam. **M. K.**

Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, Matce Boskiej Nieustającej Pomocy, świętemu Józefowi, opiekunowi małżeństw, składam serdeczne podziękowanie za wysłuchanie prośby. Jednocześnie Niepokalanej Marii Panie składam największą cześć, chwałę i dzięki za wyzdrowienie mi mego niemowlęcia od silnego kataru kiszek, ofiarując 5 zł.

Katarzyna Maria Lorencowa



Z miłości i wdzięczności dla Marii Niepokalanej i Jej przecudnego daru Cudownego Medalika, posyłam dla Jej pisemka: Rocznika Mariańskiego następujące adresy, pod którymi można wysłać numery R. M., aby zachęcić ich do zamówienia naszego pisma:

Imię i nazwisko	Dokładny adres
1.	
2.	
3.	
4.	
5.	
6.	

Podpis własny i adres

